Lwów, 9. Stycznia. Nr 4. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksięgarni *H. W. Kallenbacha*

Pamięci

Jana Nepomucena Kamińskiego.

Stał pośród pola dąb rozłożysty,
Rzucał nasiona w pustyń stepową,
Choć setne ziarno padło w grunt czysty,
Dąb się otoczył bujną dąbrową.

Żył pośród dziatwy mąż jak ze stali,
Gdzie tylko ostrzem uderzy ducha,
Wszędzie rozjaśni, wszystko zapali,
I iskrę drobną w płomień rozdmucha.

Od walki wichrów, gromów i słoty,
Młodą latorośl bronił dąb stary,
W wierzchołek biły piorunów groty
A on młodź tulił pod swe konary.

Gdzie mąż żelazny światło zapalił,
Zdradnie tam nieraz powódź puszczono,
On złość przełamał, iskrę ocalił,
I żywszą jeszcze zaświecił łoną.

I co narody wiedzie do sławy,
Co je z upadku, z gruzów podnosi,
Temu węgielne kładzie podstawy,
I z gruntu wielką świątynię wznosi.

A gdy w kwiat podniósł rzucony zaród,
I miłość sztuki rozbudził świętą,
W skromnem zaciszu patrzył jak naród,
Kroczy odważnie drogą wytkniętą.

Więc bez obawy, bez troski w duszy,
O przyszłość naszą bezpieczny,
On co wiek spędził śród ciągłej burzy
Spokojnie usnął w sen wieczny.

CZERCZA MOGIŁA.

Powieść przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Kraśnianscy jak tylko zobaczyli tłum, ścisnęli się w kupę, nieustępując kroku, choć ich mniej było, podnieśli kosy i stanęli. Wilczura rozeznał między niemi Zużla a nieco o podal po ogromnej postawie, na szkapie chudej, pana Samuela Hawnula. Nie skory będąc do gwałtu choć też w konieczności do siły się wziąć nie wzdrygał, skinął Wilczura na ekonoma, owego Pawła Zużla, aby ku niemu podszedł, a szlachcic buty zrzuciwszy i szarawary zakasawszy, przez błotko się przebrał i przyszedł.

— Co wy tu najlepszego robicie, spytał pan Stefan, czy wam się guza chce złapać, pocoście mi w sianożęć wleźli? Ruszajcie sobie a żywo bo was strzepiemy, dyfferencyą-ście przypomnieli widzę, ale z tego nic nie będzie.

Paweł się w głowę poskrobał.

— Panoszku, rzekł, to nie moja sprawa — jak pan każe, sługa musi, jam tu, proszę wierzyć nic nie winien. Dziedzic na mappie znalazł łąkę, ludzi pytał i kosić kazał, ja przedstawiałem co z tego wyjść może, ale mi tylko nogą tupnął, i jeszcze przydomek dał nie ładny... mówcie sobie z nim sami, *jak toj kazau*...

— A nóż to mu oświadczcie, rzekł Wilczura, że co mamy ludzi kaleczyć, niech się ze mną rozmówi lepiej, ot tu na hrudku, dokąd obydwa dojechać możemy.

Ekonom tedy w poselstwie znów przez błoto na prost poszedł i odniósł co mu kazano, a pan Samuel trochę się zastanowiwszy tylko, konia spiął i na hrudek wyjechał, a w czem się i Wilczura uprzedzić nie dał.

Skłonili się sobie przystojnie ale z daleka, pan Stefan

aż gniewem buchając, a olbrzym ów tak się dobrze na wodzy mając, że stał gdyby panna przy ołtarzu, oczy w w dół spuściwszy.

— Panie sąsiedzie, odezwał się Wilczura, a co to myślicie umarłych wskrzeszać? Kwestja o łąkę na Pogrudziu dawno nieboszczka, nie dobrze ją z grobu wywoływać.

— Mogło to być wszystko, zająkując się nieco odparł powolnie Hawnul, ale żywą ją pogrzebiono, a ja z mojej pracy i krwawego potu nic tracić nie chcę i co przez niedbalstwo antecessorów tu moich nadwerężone zostało, odzyskać powinienem.

— Ale panie sąsiedzie, zajrzyjcież *ad acta*! Że się waszmościowi poprzednicy wdzierali w cudzą własność, to nie racya!

— Kto się komu wdarł *lis sub judice est.* —

— A no to prosimy do sądu! zawołał Wilczura, ale póki ten nie zawyrokuje, używalność za mną, dawność za mną..... i z łąki *fora* mości dobrodzieju!

— *Fora* albo nie *fora*! rzekł zacinając usta Hawnul, ale trzymając się jeszcze; kto kogo foruje, może sam grzbietu nadstawić!

— Nie życzyłbym waszmości ze mną siłą poczynać.

— Ani ja z sobą, odparł Hawnul — bom nie przywykł ustępować....

— I ja też, panie sąsiedzie.... ale krew ludzką rozlewać dla trochy siana, niewiem czy się godzi?

— Krew niech spada na tego co począł.

— Juścić ja nie poczynam! krzyknął Wilczura, waćpan na mnie następujesz, bronić się muszę i bronić się będę. — Łąkem kosił, skoszę ją i tego roku, a chcecie się o nią rozpierać, prosiemy do sądu!

Hawnul ręką machnął z dziwnym uśmiechem, oczyma błysnął i usta wykrzywił.

— Waćpan mnie nie znasz, panie sąsiedzie — rzekł mitygując się jeszcze.

— I *waszeć* mnie też, impetycznie zawołał Wilczura, ale też mam i na łące i u ludzi nad waścią wyższość, że mnie i sprawę moją ludzie znają, a *waści* tu nikt!

— No to mnie poznacie!! rozśmiał się Hawnul, poznacie kiedy chcecie.

— Radziśmy, aby prędzej!!

Od słówka do słówka przychodziło już do przymówisk, gdy Wilczura chcąc przerwać tergiwersacją która się źle skończyć mogła, zagadnął go:

— No — ustępujecie czy nie, a nie, to was ludziom spędzić każę.

— Każcie komu chcecie, a ja zrobię co się patrzy!

I z temi słowy odwrócił się i odjechał pan Samuel. Wilczura też nie czekał długo, z hrudka zjechał, na swoich skinął i Serebrzynieccy rzucili się obcesem na Kraśniańskich. Ci pierwszy impet strzymali jakoś, ale że kupa się waliła na nich, zaraz tył podawać zaczęli. Zużel widząc że nie przelewki, drapnął, a Hawnul sam z koniem do bójki przypadłszy, gdy swoim usiłował animuszu poddać, z konia ściągniony przez chłopa, byłby może dostał co więcej, gdyby go właśni ludzie nie chwycili i szamotającego się i krzyczącego nie unieśli gwałtem prawie.

Na tem się to skończyło na ten raz i zwycięztwo zostało przy Serebrzyńcach, a trawę ukoszoną wnet pochwycono, i o nię więcej sporu nie było. Ale zaraz nazajutrz dwa manifesta postąpiły o gwałt od Stefana Wilczury i od Hawnula i proces między niemi rozpoczął się formalny.

Paweł Zużel który codziennie widywał swojego pryncypała, powiadał że po tym wypadku, gdy do dworu powrócił, długo mowy odzyskać nie mógł, leżał jak trup blady, trzęsąc się tylko i miotając, a jejmość z wielkim lamentem około niego tańcowała. Widzieli ją ludzie gdy klęczała z rękami załamanemi, prosząc męża żeby ustąpił pretensyj, processu nierozpoczynał i ludzi sobie nie narażał, słyszeli jak mu coś, cała we łzach szeptała, ale pan Samuel kiedy mu się język rozwiązał, zawołał klnąc na czem świat stał, że nie ustąpi póki żyw, a rozumu chłystka nauczy.

Caluteńką tę noc gwar i szmer słyszano w izbie sypialnej, choć ludzie niemogli nic więcej podsłuchać, bo rozmowa stała się cichą i widocznie ze strachu, ażeby jej ludzie nie pochwycili, w szepty prawie przechodziła. Niekiedy tylko wybuchał pan Samuel, a żona mu prośbami i pieszczotami usta zamykała.

Przeciwnie pan Stefan Wilczura, któremu się udało na wstępie przeciwnika pokonać, powrócił do domu jak by go na sto koni wsadził, rad że znalazł zajęcie.

— Ot przynajmniej korzyść będę miał z sąsiada, rozśmiał się zacierając ręce — dobry process, to nie lada zabawka, choć kieszeń suszy, ale nie daje zgnuśnieć, zasnąć i zestarzeć, to się trzeba ruszać.

Oba prawie jednego dnia pojechali do miasteczka, a Samuel Hawnul udał się do Żyrmuńskiego, z którym już miał stosunki, Wilczura zaś do Filipa Turzona, głośnego prawnika, szczególniej w sprawach granicznych, bo *processus granicialis*, stanowił jego specialność.

Filip Turzon, stary wyga, głowę miał dobrą, serce poczciwe, ale jak wlazł w skórę patrona, tak w niej caluteńki mieszkał, i miał to za aryngę, że złego procesu niema na świecie a wszystko dobre co do dobrego, to jest do postawienia na swojem prowadzi. Grzeczny był, uniżony, słodki, kłaniający się, minę miał głupkowatą, potulną choć do rany, ale oszukiwał tą swoją pokorą i dobrodusznością, bo większego filuta nadeń nie było, a gdy szło o zrobienie z muchy wielbłąda, ani się zająknął, tak zawsze znalazł czem dosztukować.

W życiu codziennem Turzon był najpoczciwszym człowiekiem, ale spełniając powołanie nie zważał na środki, byle swego dopiąć, i serce chował do kieszeni, stojąc przed

kratkami. Dwóch, rzec można, było w nim ludzi, jeden zacny i prawy, drugi dla którego gdy się rozmachał, nic nie było świętego. A chwyciwszy człowieka w swoje szpony, nic nie było, czem by go pożyć się nie starał. Znano też Turzona jako najniebespieczniejszego przeciwnika i Żyrmuński który choć z nim był źle, ale unikał antegonizmu, dowiedziawszy się kto będzie ze strony Wilczury stawał, ledwie nie do zgody namawiac miał ochotę Hawnula.

Hawnulowi ani gadaj o tem! Stuknął pięścią w stół, oczy mu zaszły krwią i zaprzysiągł się, że swojej krzywdy nie daruje, choćby Kraśne całe poszło za łąkę na Pogrudziu.

Napróżno Żyrmuński, człek wystały i zimny, przedstawiał, że i Kraśnego mogło nie starczyć. i osobą, życiem, zdrowiem może płacić będzie trzeba, Hawnul jak się zaciął, ani kroku nie ustąpił.

Proces tedy, nim siano uschło, rozpoczął się formalny; z obu stron manifesta i żałoby, a sąd nakazał konportacją dokumentów. Tu był sęk, bo Kraśne od tylu lat zostawało w bezrządzie, że papierów nowemu nabywcy zdano mało i to tylko czego myszy niedojadły, a mappa choć była robiona widać za czasów, gdy Kraśniańscy posiadali obie wioski, nie dowodziła wcale na stronę nowego dziedzica, bo na niej łąka na Pogrudziu stała z adnotacyj „Z dawien dawna dyfferencya, używalność Serebrzyniecka."

Gdy się tedy w papierach rozpatrzono, a brak dowodów ukazał, Hawnul z wielkiego impetu rzucił prawie w oczy panu Żyrmuńskiemu dokumenta i krzyknął:

— Jakeś mi to waszeć sprzedał, tak mnie teraz broń. Szukaj sobie gdzie chcesz dowodów! byle były!

Żyrmuński połknął afront, pocmokał, poskrobał się po łysinie, ale że jest zawsze *modus in rebus*, wydobył ni to ni owo ze starych nadań, poprzec się gotując swoje zeznaniami gromady kraśniańskiej i sąsiednich do których wcześnie zastukano.

Strona pana Samuela wskazywała granicę wedle Zygmuntowskiego nadania, dukt prowadząc od Kamienia Łycho zwanego, do barci na uroczysku Wilcze pole, ale przez mogiłę Czerczą, która wedle niej miała być starodawnym kopcem, usypanym wczasie zjazdu na gruncie w 1611 roku, przy pierwszym sporze o łąkę i las sąsiedni między Serebrzyńcami a Kraśnem; Wilczura zaś wskazywał od kamienia Łycho ruczajem rubież do zaklęsłego kopca, i dalej do barci, dowodząc że przeciwna strona niesłusznie mogiłę bierze za kurhan graniczny.

Sąd musiał rozkazać wizją na gruncie, dla przekonania się czy kopiec Czerczym zwany, był czy nie mogiłą? Na tem więc chwilowo oparła się cała sprawa, a Żyrmuński nie rad nadanemu jej obrotowi, choć gromad sąsiednich wcześnie sobie zeznania urządził, z pogłosek ludu wątpił by rozkopanie Czerczej mogiły mogło dać pomyślny wypadek.

Podanie przywiązane do miejsca od wieków, nie dozwalało wątpić, że kurhan był z czasów pogańskich mogiłą.

Przekonawszy się o tem usiłował Żyrmuński odwlec wizyą i zmienić tok sprawy, ale to było niepodobieństwem, przy zabiegach Turzona.

Dzień zjazdu został naznaczony, członkowie sądu odkomenderowani, a pan Stefan Wilczura obstawał przy prowadzeniu duktów i reduktów nie na papierze, ale wedle skazówek gromad na miejscu. (C. d. n.)

Zgaduj Zgadula.

Będziesz miał własną chatę,
Na święto modrą szatę,
Owieczki z białą wełną,
W izbie obrazów pełno,
Pszenicę na zagonie,
A pod chatą jabłonie.

Najpiękniejsza dziewczyna
Którejby nie przyganił
W poczciwości sam Anioł,
Jak lilia jedyna,
Usta jakby dwie wiśnie,
Do ust twoich przyciśnie.

Samo szczęście do ciebie
Przyjdzie drzwiami, oknami,
Kominem i dziurami, —
Nie zabraknie na chlebie,
Ni na ludzkiej przyjaźni,
Nikt nad ciebie pokaźniej
Nie wystroi się suciej,
Ani w tańcu obróci,
Jeśli zgadniesz zgadula
Gdzie złota kula?

— Ej, to pewnie w tym ręku!
— Nie — nie zgadłeś Jasieńku.

Zgaduj jeszcze raz drugi
Już nie będziesz bogaty,
Nie dorobisz się chaty.
Nie twoje woły, pługi,
Ni dziewczyna Jasiu mój!
Ale pałasz jeszcze twój,
I przyjaciel wierny
I Bóg miłosierny,
Jeśli zgadniesz zgadula
Gdzie złota kula?

— Ej, to pewnie w tym ręku!
— Nie — nie zgadłeś Jasieńku.

Zgaduj jeszcze raz trzeci,
Jeszcze tylko ci świeci
Miesiąc, gwiazdy i słońce
I złocą się dąbrowy,
I szumi bór sosnowy,
I jujarka na łące,
Przygrywa główce twojej,
Jeszcze przy tobie swoi,
Znajomych ludzi siła,
I na kochanej ziemi
Pod brzozami białemi
Jedna cicha mogiła,
Na której z każdą wiosną,
Nieśmiertelniki rosną,
Jeśli zgadniesz zgadula
Gdzie złota kula.

— Ej to pewnie w tym ręku
— Nie — nie zgadłeś Jasieńku.

Oj smutna twoja dola!
Bogdajbyś się nie rodził,
Zostać tobie niewola,
Śród obcych będziesz chodził,
I w noc i we dnie
Łzy z ócz popłyną,
Uśmiechy zginą
I liczko zblednie,
Będziesz samotny,
Zbrzydnie ci świat
Jak w porze słotnej
Kwiat.

T. Lenartowicz.

JEDNODNIÓWKI.

(Ciąg dalszy)

Półczwarta wieku rozdziela nas od owych wydarzeń, a czas i ludzie nie zmienili się wcale. Jak dzisiaj wyrzekają jedni na oświatę swego czasu, że zacierając dawny obyczaj, jest przyczyną wszystkiego złego, tak samo i wtedy były wyobrażenia, utyskujące na nowe, rozszerzające się światło. Dowodem takiej, ludzkiej naturze wrodzonej opozycyi przeciw temu, co istnieje, lub istnieć usiłuje, jest sam szanowny śpiewak *Iliady*, który mówiąc o przodkach Eneasza, mówi z westchnieniem, że w lepszych rodzili się czasach!

Owoż kiedy akademia krakowska w owych czasach jasnem światłem świeciła, znaleźli się i tacy, co potrząsając głową, krzywo na to światło patrzali, i bardzo słusznie, bo właśnie z podobnego światła wywiązała się następnie bezbożna herezya. Nie dziw więc, jeźli pan Marcin, żegnając doczesne, syna swego upominał, aby w podobne światło niebardzo patrzył, a więcej kierował się inspiracyą, do której wzbudzenia udzielił mu rad sekretnych.

To też posłusznym był Kazimierz Junosza radom swego ojca. Wszakże inspiracya jego nie wychodziła mu z wewnątrz, jak to sobie był z początku wyobrażał, ale jakoś wpływała przez skórę z okoliczności, które go w drodze żywota nadybały. I tak, będąc dworzaninem wojewody Otwinowskiego i pojechawszy z nim na sejm do Radodomia, bił się przez dwie nocy na podsieniu ratuszowem z pachołkami Zabrzezińskiego, krewniaka wojewody trockiego, który za tem przemawiał, aby królowi władzę ukrócić. Na trzeci dzień rąbnął bułatem siostrzeńca Łaskiego za to, że kanclerz koronny miał za królem obstawać, jak mu to wczoraj pachołkowie Zabrzezińskiego byli powiedzieli.

Odtąd był wszedł Kazimierz Junosza w szeregi opozycyi przeciw królowi, i w tem się tylko nieco wyrodził, że w tej opozycyi, której wszakże donośności nigdy nie umiał ocenić, wytrwał przez lat trzy. Było to bowiem nader popularnem w Polsce, opierać się, gdzie tylko można było, władzy królewskiej, chociaż moralna niemoc króla zgubnie na stosunki kraju wpłynąć musiała. Pojmując ojczyznę w swobodach szlacheckich, żaden z Junoszów nie pomknął myślą do jej wyższego znaczenia nad to, jakie nadawał jej każdy szlachcic zagrodowy, a które wielce podobne było do późniejszego francuskiego: „l'ètat c'est moi.“

Sprzyjał więc Kazimierz Junosza z najczystszej inspiracyi rokoszowi Glińskiego na Litwie, a dowiedziawszy się o porażce jego pod Orszą, zapłakał z radości nad tryumfem oręża królewskiego i na całe gardło zaintonował z tysiącami: *Te Deum laudamus*.

Wyszedłszy z kościoła poczubił się z dworzaninem wojewody krakowskiego który Maksymiliana Austryackiego pod niebo wynosił, bo przymierze z Niemcem nazwał zdradą ojczyzny. Mimo tak stanowczej argumentacyi tego zdania, stało się jakoś, że Kazimierz Junosza, wraz z wojewodą, będącym w świcie Zygmunta, za kilka miesięcy w zjazd do Wiednia odbywał, i tak się serdecznie z „knechtami“ całował, jakoby był rodzonym ich bratem. Żałował niezmiernie, że nie umiał ich sposobem szwargotać, a nie mogąc ich zabawić rozmową, zabawiał ich potrosze swoją sztuką krzyżową, za pomocą której kilkom helebardnikom łby aż po gardziel rozpłatał.

Wszystko to kwadrowało jakoś wybornie do efemerycznych jego inspiracyi, a uczyniwszy rachunek z sumieniem, umiał je zawsze jakoś pokwitować.

Wyjechawszy z Wiednia tak się był rozmiłował w królu Zygmuncie, że odtąd nietylko zdanie swe o nim zmienił i opozycyą szlachecką jak najwyraźniej porzucił, ale oraz z całą tradycyą swego imienia do sprawy królewskiej przystąpił i cały na jego usługi się stawił.

Wywdzięczył się hojnie Zygmunt za tak oczywiste przywiązanie dzielnego Junoszy, a wzywając go do różnych posług krajowych, udarował nieszpetną wioszczyną w Kaliskiem, gdzie też, postradawszy pół nogi, usiadł na swojej emeryturze ostatni Junoszów potomek.

Tu w zaciszu ustronnem poczęły biednego inwalida nagabywać różne myśli. Najsmutniejsze z nich było, że ostatni z Junoszów umiera bez potomstwa, bez syna, któryby mógł dalej poprowadzić tak świetnie rozpoczęty ród efemereidów politycznych.

Owoż tak rozmyślając przypomniał sobie Junosza Nr. II., że w sąsiedztwie dawnego ojcowskiego futoru, tam gdzieś nad Sanem, była hoża szlachcianka, z którą nawet zkoligacony był przez ciotkę stryjeczną, będącą na respekcie u Strzemboszowej, rodzonej siostry wojewodziny sandomirskiej.

Wziąwszy pachołka, i trzymając się jak mógł na siodle, wyruszył Kazimierz do ziemi przemyskiej, i już do Jarosławia docierał, gdy się od przechodzących o pospolitem ruszeniu przeciw Wołoszy dowiedział, a nawet już zbrojne hufce w pochodzie nadybał.

Zawrzała krew w sercu ostatniego z Junoszów, i gdyby nie myśl potomstwa, albo co większa, gdyby nie brak większej połowy nogi jednej, Kazimierz poszedł by był teraz chętnie za uczciwą swoją inspiracyą, która sromotę ojca krwawo pomścić kazała. Ale to były już rzeczy nie podobne. Pozostało tylko Junoszy, modlić się o zwycięztwo broni polskiej, i oddać wszelką cześć mądrym zamiarom ukochanego swego króla.

Powziąwszy taką determinacyą przybliżył się Junosza do hufca pancernych, a kłusując obok jakiegoś towarzysza, opowiadał mu o helebardnikach niemieckich i o pachołkach Zabrzezińskiego, krewniaka byłego wojewody trockiego, któremu już teraz przy sprawie Glińskiego odebrał był Zygmunt województwo jego.

I tak sobie gadu gadu, jechał Junosza przy boku pancernego, popijał razem z nim gorzałki, jak się trafiło, to i miodku, a że do swego towarzysza począł był taki afekt kordyalny, to ztąd poszło, że pancerny był właśnie niegdyś dworzaninem na dworze wojewody trockiego, i tych pachołków jego krewniaka znał doskonale.

Junoszy tak jakoś chciało się do dna wygadać, tak mało w swojem ustroniu z kim miał rozmawiać, a przecież tyle było w sercu i w głowie, że i kilka nocek z pancernym się przespało i jeszcze nie wyczerpało się miłego rozhoworku.

Owoż stało się, że trzeciego dnia zawołał pachołek Junoszy:

— Panie, wszakże my już pode Lwowem, a nasza droga na boku została!

A Junosza mu na to:

— Jużciż to prawda święta, że my pode Lwowem, a nasza droga na boku została, ale musi to być w tem palec boży, co nas tu doprowadził. Jest to inspiracya dobrego sumienia, które nie każe myśleć wtedy o żonie, gdy kraj we zbroi a król pospolite nakazuje ruszenie. Nie sądziłem ci ja z razu, że ten rozkaz królewski tyczy się i mnie biednego bez nogi, ale widać że tak być musi, kiedym mimo woli aż tu zaszedł. Niech się dzieje wola święta — może się na co przydamy, w rzetelnej sprawie: *pro rege et patria.*

Zrezygnowawszy tym sposobem z żonki i potomstwa, wjechał Kazimierz Junosza do obozu, a dopytując się o regimentarza, mówił każdemu o przywiązaniu swojem do sprawy królewskiej.

Nie dobra to wszakże była inspiracya, która go do obozu zaprowadziła. Miasto bowiem zapału wojennego, zastał Junosza w obozie zbuntowaną przeciw królowi szlachtę, która przyszła z papierami i skargami to na króla, to na królowę, na senat i magnatów. Radośnie się atoli zrobiło Junoszy, gdy ujrzał przeszło sto tysięcy szlachty, na króla powstającej, a przypomniawszy sobie że ojcowiznę jego jakiś magnat zagarnął, uspokoił potrzebą zemsty odzywające się sumienie, i idąc za zupełnie nową inspiracyą, przystąpił do konfederacyi przeciw królowi.

Ulewny deszcz rozpędził rozdąsaną szlachtę, a pozbywszy się tym sposobem inspiracyi swojej Junosza, krzyknął z przerażenia, że mógł podobne głupstwo popełnić, naprzeciw swego dobrodzieja pałasz wyciągnąć, a co najgorzej, stać się uczestnikiem — wojny kokoszej!

Zapłakał gorzko skruszony malefikant, a potrzebując nadprzyrodzonej pociechy, znalazł ją na łonie czarnookiej Basi, która mu w przyjaźń dozgonną ofiarowała rękę i spory kawał czarnej gleby przemyskiej.

Wszelako ani czarnooka małżonka, ani czarna chlebodajna gleba przemyska, ani czarna czupryna pięcio-letniego imienia Junoszów potomka, nie mogły zrównoważyć fałszywej jego inspiracyi, która uczyniwszy go przeciwnikiem Zygmunta, uczyniła go oraz niewdzięcznikiem, splamiła jego famę, uczestnictwem w wojnie kokoszej! *).

Żadna już odtąd w jego sercu nie powstała inspiracya, a wlokąc żywot nudny i jednostajny, zapadał powoli na zdrowiu, zchudł i posiwiał przed czasem, a dowiedziawszy się o śmierci starego króla, przypisał ją swojej nie-

*) Liczny musiał być ród jednodniówek za czasów Kazimierza Junoszy, jeźli zebrany pode Lwowem obóz, przeszło sto tysięcy szabel wynoszący, przeważnie z podobnych efemerydów się składał. Zastęp ten bowiem opozycyi straszliwej, zagrażający wywróceniem tronu i porządku społeczeńskiego, „rozpędził — mówi Lelewel — wicher i deszcz ulewny, a panowie, sługi i szlachta, co żyło, uciekało do miasta...” W kilka dni potem «wracali żałością przyjęci, że dobrego króla zmartwili, że sami nic nie wskórali, i bardzo się tego wstydzili; bo tumult ten nazwano na śmiech wojną kokoszą!« (Dzieje Polski Joachima Lelewela str. 116.)

wdzięczności i wojnie kokoszej. Odczytawszy więc akty konających — ducha Bogu oddał.

Nawet pamięć potomna niesprzyjała mu, mówiąc o nim:

Nie umarłby Junosza
Gdyby nie wojna kokosza!

(D. c. n.)

Ziemia Bełzka.

(Ciąg dalszy).

O milę od Sokala, wśród lesnej i piaszczystej okolicy sterczą po nad brzegiem Bugu czerniące się starością, ponure szczyty zamku *Krystynopolskiego*, zamku, co był niegdy siedzibą i ulubionem mieszkaniem aż nadto znanego, bardziej z ostatniej dziejów naszych karty pamiętnego: Franciszka Salezego Potockiego, wojewody Kijowskiego! Przechodzień pojrzawszy na te wiekiem poczernione mury, owe tajemnicze narożniki, wysokie sklepione komnaty, w całości przez dzisiejszą właścicielkę utrzymane i zamieszkałe, ze wstrętem się odwróci i zadrzy — bo całe publiczne i domowe życie tego polskiego Satrapy, stanie mu na raz krwawem widziadłem przed oczami! — Tu to pod temi sklepieniami zawistny jakiś naszego bytu geniusz zatlił w duszy wojewody pierwszą iskrę niezgody i rozbratu z domem Czartoryskich, a ztąd się wysnuło i pasmo następnych zbrodni, z niemi zaś to brzemie nieszczęść, które się na biedną naszą zwaliły krainę. — Tutaj to dumny magnat marzył, bodajby kosztem potoków krwi bratniej, bodajby i kosztem bytu narodowego koronę piastów na swojej lub syna swego *Szczęsnego* osadzić głowie, tu się nawet może w szalonym i zrozpaczonym z zawiedzionych nadziei umyśle, najprzód wylęgła, wrosła i dojrzała następnie, matkobójcza myśl Targowicy! Ztąd wreszcie, możny, a w obrażonej dumie granic nie znający pan, wydał rozkaz odegrania krwawego dramatu z własną synową, którą cudne Malczewskiego uwieczniło pióro. Niegdyś, jakże tu było gwarno, dworno, pańsko, groźno — Dziś?..... Uroczystej ciszy nic tu nie przerwie, czasem tylko wśród nocy stare świerki i dęby co okalają zamek, zaszepcą coś z cicha, i puszczyk gdzieś odezwie się na starej zajęczej wieżycy. Może to modlitwa za tych, co tu łzy wylewali, a może i za tego, co te łzy wyciskał? I znowu jak na pobojowisku cicho! cicho! i cicho!....

Miasteczko *Krystynopol* osiadłe majętnemi żydami, prowadzi tu największy na całe Bełzkie handel zbożowy; jest tu ładny klasztor OO. Bernardynów któren się po niedawnem spaleniu właśnie teraz z gruzów podniósł. — Przed dwoma atoli miesiącami ogień znowu świeżo nawiedził to miasteczko, i do 60 domów, najwięcej ubogich rodzin żydowskich, w popiół zamienił.

Cały zaś ten krajobraz zamyka, otoczony do koła lasami, step piasku, na którym rzucone są *Mosty wielkie*, miasteczko, inaczej zwane *Augustow*. Mieszkańcy tutejsi — to dawna tatarska osada od Augusta II. kr. pols., osobnemi przywilejami obdarzona a z tąd i nazwa *Augustów*. Typ rasy wschodniej dotąd się w zewnętrznych kształtach mieszkańców tutejszych w całej czystości przechował. Te oczy w migdał przecięte, płeć śniada, twarze płaskate ale piękne, postawy rozrosłe, barczyste a kościste nie przypuszczają wątpliwości o wschodniem tej osady pochodzeniu. Prócz tego obyczaje ich niektóre różnią się dotąd od reszty okolicznych mieszkańców. I tak n. p. że grunta mają liche i piaszczyste, więc najwięcej trudnią się wyrabianiem potażu, smoły i furmanką. Zaraz tedy uprząż ich jest całkiem na podobieństwo owych często na Ukrainie napotykanych czumackich maż, ciągnących do lub od Czarnomorskiego Limanu t. j. kibitka trzykonna. Z tych środkowy koń w hołobli. Ale co najdziwniejsza, że w jeździe nie używają lejc. Mostyniec tylko świśnie i po najgorszych drogach kierując konie jedynie batem, omija swoją mażą koleje, wymija na gościńcu bryki, wstrzymuje z góry a po dobrej drodze pędzi jak poczta rossyjska i to z zupełną pewnością i bez przykładu wypadku jakiegokolwiek.

Ostatnią razą wybierając się do Lwowa zamówiłem sobie w Sokalu budkę żydowska. Tymczasem po przybyciu tamże na czas oznaczony, rzetelny żydek wytrzymawszy mnie do późnego wieczora, na raz oświadcza że jechać dziś nie może, bo go furman zawiódł. Wracać się niemogłem, jechać mi bowiem koniecznie wypadało. Więc gdy zadumany przez opustoszały Sokala rynek kroczę, postrzegam naraz dwa odrębnego kształtu trzykonne wózki, zabierające się właśnie ruszyć z miejsca.

— A zkąd gospodarze? zapytałem.

— Ta przecież pan widziesz że z Mostów odrzekł, wyborną polszczyzną jeden z nich, niby obrażony, żem się do razu na nich nie poznał.

— Aha! to Tatar — pomyślałem sobie.

— A czy nie zabralibyście mnie z sobą do Mostów?

— Czemuż nie? siadaj pan.

— A co chcecie?

— Ej ta do wójta nie pojdziemy na sprawę.

— Ha! to dobrze — jadę, ale tłomoczek mi przynieście, Poszedł, przyniósł, zrobił dobre siedzenie. Potem skoczył lekko na worek i świsnął tak przeraźliwie, że mi aż w uszach zapiszczało, a w tem konie ucięły z kopyta! To mi to jazda, pomyślałem sobie, a była już noc. Na raz widzę, gdy wózek pędzi tuż nad przykopą, po nad którą stał krzyż oblany promieńmi roztoczonego księżyca w pełni, że mój woznica miasto skierować lejcem, jedną ręką lekko tylko trącił konia batem, a drugą zdjąwszy czapkę, pobożnie się po trzykroć żegnał.

— A gdzież lejce!!? zapytałem i zdziwiony i dość prze-

straszony; bo przyznam się takiej szalonej jazdy jak żyję nie praktykowałem. Na to obejrzał się tylko z flegmą, roześmiał się i rzekł z niejaką chełpliwością.

— Coż to pan nie wiesz że my Mosteńce?

Nic już nato nieodrzekłem, bom się lękał obrazić sprawiedliwą dumę potomka choćby po kądzieli jakiego może Hana a przynajmniej Murży.

Lud to poczciwy, mowny, niezmiernie religijny, porządny i rządny a nadewszystko gościnny i uczynny. Przybywszy do Mostów i odpocząwszy w jego schludnej ciepłej chacie, sam mi się nastręczył że mnie do Żółkwi jeszcze odwiezie, gdzie sam wynalazł mi dogodną furmankę do Lwowa, troskliwie mnie polecił, potem uprzejmie pożegnał i odjechał z Bogiem! Poczciwy to powtarzam ten tatarski na naszą ziemię przeszczepiony lud!

Na tem kończę plastyczto-obrazowy opis Bełzkiego, a teraz nieco jeszcze pomówimy o tutejszych obyczajach i życiu domowem mieszkańców, należących do różnych kategoryj.

(D. c. n.)

Rozmaitość.

* **Z nad ujścia Wisłoki**, 30. grudnia. Piszę jeszcze pod wrażeniem świąt, które dopiero co przeszły, a każde święto, szczególnie zaś Narodzenia i Zmartwychwstania Chrystusa jakieś rzewne w mem sercu obudza wspomnienia; są to bowiem epoki które tak mocno wbiły się w moją pamięć, że lubo dziś ja do młodych się nie liczę, lubo moje czoło zmarszczkami a głowa łysiną pokryta, jednak mimowolnie myśl moja cofa się do owych chwil szczęśliwych, jakiemi dla każdego dziecka były święta uroczyste.

Pamiętam kiedy w Wigilią mój ojciec z kilku poufnemi gośćmi wracał z polowania, jak każden wierząc święcie w odwieczny przesąd szczęścia na rok cały, to cieszył to smucił się z myśliwskich przygód dnia tego, ja będąc małym chłopcem liczyłem ubitą zwierzynę, a wypytawszy się kto co ubił (bo to było najważniejsze) biegłem do mojej matki z raportem. Matkę zastawałem zwykle w kuchni, bo Wigilia wymaga wiele zabiegów! Udanie się strucli, migdałowej zupy, krążków z lina i t. p. przysmaków stanowiły prognostyk szczęścia na rok cały, niema się zatem co dziwić, że moja matka nie ciekawa mojego raportu ofuknęła mnie: «Ej daj mi pokój smarkaczu!« i dalej z kucharzem dzieliła trudy przygotowania dzisiejszego postniku.

Niezmartwiony tem bynajmniej wracałem do jadalnej sali, i tam skubiąc to olbrzymią struclę, to nadłamując opłatki miodem smarowane, to nakoniec liznąwszy czasem miodu na dużej salaterce stojącego, czekałem z upragnieniem chwili zaczęcia uroczystego obchodu tak wielkiego dnia, jakim dla mnie była Wigilia Bożego Narodzenia.

Sala jadalna przybrała wtedy nadzwyczajną postać: w każdym jej rogu stał snopek ze zbożem, a oczywiście były to snopki z żyta, pszenicy, jęczmienia i owsa, bo w owym czasie to zboże w Polsce prim trzymało, dziś gdyby ten zwyczaj był zachowanym, pewnie by wykę, tymotejkę, konicz lub brzankę ujrzano, a obrus któren wtedy na słomie naszego poczciwego polskiego zboża spoczywał, dzisiaj by musiał chyba na burakach lub rzepie spoczywać!

W tem gwiazdka pokazała się na niebie, była to chwila zapowiadająca Wigilię, moi rodzice weszli do jadalnej sali, a za nimi wszyscy którzy wtedy pod ich dachem byli, wszyscy mówię, bo czy gość czy nie gość, czy stróż czy ekonom, wszyscy bez wyjątku byli przypuszczeni do staropolskiego zwyczaju łamania opłatka i życzenia sobie »dosiego roku.« Moi rodzice każdego z kolei obeszli, z każdym się łamali a potem wszyscy tak jak byli poszli do izby czeladniej, aby widzieć jak czeladź ów tyle oczekiwany «postnik» spożywa.

Potem wrócili do jadalni i siedli do stołu. Co tam było potraw tego już nie pamiętam, jednak zupa migdałowa z ryżem i rodzenkami, krążki z lina, szczupak z jajami, bo to już wtenczas szafranem się brzydzono i placuszki z makiem zostały mi w pamięci; kuti pszenicznej u nas nie znano, ten przysmak jest czysto ruski a jakoś Mazury albo Krakowiaki nie mają i dzisiaj gustu Rusinów, bo kutia u nas nie w modzie. W czasie tych dań krążyły gęsto kielichy, dam, zdrowie gospodarstwa, ich konsolacyj, obywatelskie sandomierskie zdrowie i wiele tam innych kielichów, na które już moja pamięć nie wystarcza; wiem tylko, że oprócz nas dzieci i mojej matki wszyscy mężczyźni byli pod dobrą datą, ale to się tak miło odbyło, bez hałasu, bez krzyku, bez najmniejszej zwady, że dzisiaj nieraz sam podchmieliwszy i widząc podchmielonych pomyślę sobie: »bodaj to takie jak dawniej upicie!»

(D. n.)

* **Wystawa obrazów urządzona przez Tysiewicza.** Po prawej od wejścia do sali uderza najpierw obraz wielkich rozmiarów. Jaskrawością kolorów, aż nie harmonijną prawie, z początku niemiłe robi na widzu wrażenie. A jednak jest to kopia obrazu jednego z najsławniejszych malarzów francuskich «Delaroch'a», obraz mający europejską sławę, przedstawiający śmierć królowej Elżbiety angielskiej. Na otomanie, w koronie i płaszczu królewskim, otoczona całym jaskrawym przepychem tronu, kona królowa Elżbieta, kona głównie w skutek przesytu życia i wyrzutów sumienia. Ta rażąca jaskrawość barw jest tu umyślnie przez malarza nagromadzona. W około Elżbiety pełno złota i kosztowności, pełno środków do życia i użycia. Z wysłanych od rady państwa jeden z najpierwszych mężów, sekretarz stanu Cecil, na kolano przykląkł przed nią, a królowa wszelką myśl o dalszem życiu upornie odsuwa od siebie; już kilka dni przyjąć nie chciała pokarmu, życie jest dla niej ciężarem. A gdy wysłannicy rady państwa proszą ją, aby myśl swą względem następcy tronu objawiła — ona wymienia jednego z Sztuartów, tych Sztuartów, przeciw którym walczyć, na rusztowanie ich posyłać, było niejako całego jej życia zadaniem.

Myśl potężna tego obrazu zdumieniem napełnia widza. Jestto utwor, jaki rzadko obaczyć można, a raz ujrzany takie czyni na umyśle ludzkim wrażenie, iż pozostaje na zawsze w pamięci. Już dla tego jednego obrazu wystawę odwiedzić warto. Nie widzieliśmy tego obrazu w oryginale, ale znając z innych utworów pędzel Delaroch'a, sądzić możemy że kopia przez pana Tysiewicza jest bardzo dobrze oddana.

Drugie miejsce w tej wystawie co do wykonania i poetycznej myśli malarza zajmuje obraz sławnego niemieckiego malarza Herbsthoffera: Żal za światem. Przedstawia dwóch trapistów hiszpańskich herboryzujących. W głębi przesuwa się oddział gerylasów i słychać trąbkę do pochodu czy ataku grającą. Jeden z trapistów w tej chwili znalazł właśnie jakąś nową plantę, i z największą radością, jakby wołając drugiego, rzuca się z łopatką i nożykiem na nią. Lecz ten drugi inną zupełnie myślą zajęty. Jego wyłącznie zajął głos dosłyszanej trąbki. Wyprostował się jak żołnierz, boleśnie przypomina mu się wiek ubiegły, on duszą pogonił za gerylasami do ataku, łopatka w jego ręku staje się bronią, jemu serce z żalu pęka, ach widać iż ten habit to suknia nie dla niego.

(D. n.)

* Na pogrzeb ś. p. Kamińskiego zebrało się ludu do dziesięciu tysięcy. Takiego orszaku pogrzebowego we Lwowie niewidziano. Wszystkie tam były stany reprezentowane: Szlachta, wyżsi i niżsi urzędnicy, młodzież akademicka, mieszczanie i wyrobnicy. Przed domem gdy trumnę znoszono, spiewacy teatru odśpiewali psalmy żałobne, na smętarzu członkowie towarzystwa muzycznego, w języku polskim. Młodzież akademicka niosła trumnę z domu aż na smętarz Łyczakowski. Obicie trumny rozerwano na pamiątki.

Rys życia ś. p. zmarłego podamy w następującym numerze.

* Mylnie niektórzy zrozumieli nasze oświadczenie w ostatnim numerze Nowin z r. 1854 umieszczone, co do ceny kompletnego rocznika Nowin. Podwyższyliśmy cenę jedynie rocznika Nowin z roku ubiegłego z 6 złr. na 8 złr. m. k. a cena prenumeraty na 1855 r. pozostaje taż sama co dawniej.

* **Ważna Nowina.** Korespondent Czasu, Omega pisze z Wiednia iż na wieczorze u księcia Lichtenstejna bardzo wiele mówiono o polityce, ale po cichu!

Przyjechali od dnia 5. do 7. Stycznia do Lwowa.

PP. Radziejowski Edward, z Dytkowiec. Rychalski Feliks, z Derewlan. Wiśniewski Tadeusz, ze Sulimowa. Rodkiewicz Szymon, ze Żółkwi. Udrycki Adolf, z Choronowa. Komarnicki Jan, z Magierowa. Zabielski Józef hr., z Tarnopola. Olszewski Tyburcy, z Bazaru.

PP. Gołuchowski Stanisław hr., ze Skały. Chojecki Zygmunt, ze Stanisławowa. Turczyński Jan, ze Soposzyna. Kruczkowski Leonard, ze Żółkwi. Glixelli Juliusz, z Glinian.

PP. Borkowski Seweryn, hr. ze Szuparki. Dzieduszycki Juliusz, hr. z Jarczowiec. Komorowski Bolesław, z Jarczowiec. Jełowicki Wacław, z Kornatowic. Stasicki Władysław, ze Sądowej wiśni. Dzieduszycki Aleksander, hr. z Lachowic. Nahujowski Antoni, z Czernicy. Doliniański Seweryn, br. z Dolinian. Medwaj Franciszek, ze Stupnicy.

Wyjechali dnia 5. do 7. Stycznia ze Lwowa:

PP. Osmulski Władysław, do Kulikowa. Gottleb Antoni, do Lewczy. Batowski Aleksander, do Kulikowa. Strzelecki Eugieniusz do Wyrowa. Sroczyński Antoni, do Mokrotyna. Towarnicki Wincenty, do Jaryczowa. Truskolaski Franciszek, do Przemyśla. Łoś Justyan, hr. do Bortkowa. Nowosielski Ludwik, do Zbory. Malczewski Henryk, do Gniłowód. Rodkiewicz Józef, do Krzywego.

PP. Jędrzejewicz Kazimierz, do Czaplego. Gnoiński Aleksander, do Krasnego. Szymanowski Szymon i Franciszek, do Spassowa. Rubczyński Alfred, do Starosina. Udrycki Adolf, do Choronowa. Kozakiewicz Karol, do Michałowic.

PP. Onyszkiewicz Fortunat, do Borussowa. Jaruntowski Jan, do Hermanowic. Rodkiewicz Seweryn, do Łukawca. Golejowski Tadeusz, hr. do Sopołowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 5 b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr.	127¼	Pożyczka 5% 83⅜ 4½	72¾
Hamburg za 100 tal. banco	93¼	Akcye banku	1003
Londyn za 1 funt szterl.,	12 13	Kolej północna	1980
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	77½
Paryż za 300 franków	147¼	Nowa pożyczka z loteryą	97⅞
Agio duk. ces.	30½	Pożyczka narodowa	86 3/16

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	52	złr.	5	kr.	54
Dukat cesarski	«	5	»	57	»	5	«	59
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	8	»	10	«	11
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	59	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	53	»	1	«	55
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	25	»	1	«	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	»	89	«	40	»	90	«	5

Obligacye. indemnizacyjne 74 — do 74 złr. 15 kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**

Doniesienia.

Do dzisiejszego Numeru dołączony jest Doda tek.